

Skończyłem czterdzieści pięć lat i jak dotąd życie mnie oszczędzało. Czasami odnosiłem wrażenie, że jestem wybrańcem losu, a jego wysłannicy usuwają mi spod nóg wszelkie nierówności tak, żeby nic nie mąciło mojego dobrostanu. Ja – szczęśliwy mąż i ojciec, doceniany pracownik naukowy, pasjonat literatury, maratończyk i inicjator wielu wziętych akcji charytatywnych – żyłem w konie spokoju, bez bolesnych przesileń i tragicznych życiowych

zwrotów. Wciąż nie potrafię pojąć, jak doszło do tego nieszczęśliwego zdarzenia i dlaczego właśnie ja zostałem w nie uwikłany. Czyżby los wystawił mi bardzo wysoki rachunek za dotychczasowe życie pod kloszem? A jeśli to nie żaden los, a cholerny przypadek sprawił, że wtedy właśnie oboje znaleźliśmy się w tym samym czasie na tej samej drodze?

Zacząłem pisać, żeby uporządkować myśli, bo niczego więcej uporządkować nie potrafię. Przeglądam więc zapiski w podręcznym notatniku, cofając się pamięcią do dnia wywiadówki w szkole mojej córki.

## 13 maja 2008

Dźwięk telefonu wyrwał mnie z zamyślenia. Wyjąłem z kieszeni komórkę i zerknąłem na ekran.

– Cześć, tatko! – Głos mojej córki zawsze wprawiał mnie w radosny humor. – Masz zajęcia?

– Witaj, kochanie. Zaczynam za kilka minut. Kolokwium.

– Brrr. Biedni studenci. Ale nie będziesz dla nich zbyt surowy?

Roześmiałem się.

– Obiecuję, że będę bezlitosny, ale tylko dla nieuków.

– Tato, czy pamiętasz o dzisiejszej wywiadówce?

Justyna uczyła się do pierwszej klasy prestiżowego gdańskiego liceum. Uczyła się dobrze. Nauka nie sprawiała jej większych trudności, nigdy też nie mieliśmy z nią poważnych problemów wychowawczych. Była po prostu zwyczajną dziewczyną z nastoletnimi fochami i nastrojami.

– Oczywiście, że pamiętam – odparłem zaskoczony, bo nigdy wcześniej nie przypominała nam o spotkaniach z wychowawcą. Nie było takiej potrzeby. Terminy wywiadówek wpisywaliśmy z żoną do naszego kalendarza spraw rodzinnych zaraz na początku roku

szkolnego i nie zdarzyło się, żebyśmy o nich zapomnieli. Jako odpowiedzialni rodzice skrupulatnie kontrolowaliśmy postępy w nauce naszej jedynaczki. – Dzisiaj późno kończę zajęcia, więc do szkoły pójdzie mama – dodałem.

– Ja właśnie w tej sprawie, tato – przerwała mi w pół zdania.  
– Mam do ciebie prośbę.

– Prośbę? – Zerknąłem na zegarek. Zostały ostatnie minuty przerwy. – Mów szybciej, o co chodzi.

– Czy mógłbyś przyjść na tę wywiadówkę?

– Ja? Przecież będzie mama. Nie rozumiem, dlaczego mamy iść tam we dwoje...

– Ale właśnie rzecz w tym, że... żebyś przyszedł tylko ty. Sam. Bez mamy. Mógłbyś? – poprosiła błagalnym tonem.

– Hm, dalej nie pojmuję dlaczego ja, a nie mama...

– Bardzo cię o to proszę! Później wszystko wytłumaczę.

Nie miałem czasu wypytywać o powody. Przypuszczałem, że miała jakieś problemy i bała się reakcji Ani. W sprawach dotyczących szkoły i nauki żona była bardziej rygorystyczna i zasadnicza niż ja. Nierzadko przymykałem oko na niedociągnięcia nastolatki.

– To jak będzie, tatko? – Postawiła mnie pod ścianą, jednak przezornie nie dałem jednoznacznej odpowiedzi.

– Porozmawiam z mamą i zobaczymy – odparłem, chociaż w gruncie rzeczy podjąłem już decyzję. Miałem nadzieję, że Ania zgodzi się na zmianę planów. Będę musiał nieco wcześniej zakończyć zajęcia i od razu pognam do szkoły.

– Obiecujesz, że przyjdiesz? – ciągnęła, nie dając za wygraną.

– Obiecuję, że porozmawiam z mamą.

Ania nie protestowała, gdy poinformowałem ją, że pojedę do szkoły na zebranie.

– Okazało się, że dzisiaj kończę wcześniej zajęcia, więc mogę od razu po pracy iść na wywiadówkę – skłamałem. – To przecież po drodze. Po co ty masz się fatygować? Wrócisz spokojnie do domu, zjesz obiad, a ja załatwię sprawę.

– Skoro tak, to dobrze – odpowiedziała moja żona.

Kilka godzin później stałem na przystanku, czekając nerwowo na tramwaj, który jak na złość przyjechał z opóźnieniem. Wysiadłem we Wrzeszczu przy parkowym skwerku i wykorzystując doświadczenie w biegach maratońskich, pognałem na złamanie karku w kierunku szkoły, do której niegdyś sam uczęszczałem. Z racji tego, że znajduje się przy ulicy Topolowej, zwana jest potocznie Topolówką. Nie miałem jednak czasu, by przywołać wspomnienia z młodości, bo kiedy wszedłem do sali, zebranie już trwało. Cichutko usiadłem i spojrzałem na kartkę, którą podała mi wychowawczynie. Oceny Justyny prezentowały się całkiem przyzwoicie jak na pierwszą klasę liceum, tylko... Przetarłem oczy ze zdziwienia i zerknąłem raz jeszcze. A jednak! Moja córka była zagrożona z fizyki! Poczulem nie tyle irytację, co ogromny rodzicielski zawód. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ukrywała przed nami swoje problemy z nauką. Dlaczego się nie przyznała? A może niesłusznie ją oceniam? Złapała tych kilka jedynek, zapętlili się i nie potrafi wybrnąć z trudnej sytuacji, tłumaczyłem sobie. To w końcu jeszcze dziecko! Krążyłem myślami wokół nieszczęsnej fizyki i dalsza część zebrania umknęła mojej uwadze.

Kiedy rodzice zaczęli się zbierać, podszedłem do wychowawczynie.

– Ja w sprawie Justyny. Chodzi o fizykę. – Podałem jej kartkę ze stopniami.

Całkiem niedawno dowiedziałem się, że oboje jesteśmy absolwentami trójki. Co więcej, uczęszczaliśmy do równoległych klas.

Wpatrywałem się z ciekawością w twarz kobiety, usiłując rozpoznać w dojrzałych rysach koleżankę ze szkolnego korytarza.

– Tak. Wiem. Sytuacja nie wygląda ciekawie, ale sądzę, że da się coś jeszcze zrobić. To w końcu dobra uczennica. – Otworzyła dziennik i przesunęła palcem po rubrykach z ocenami.

– Cóрка nie zgłaszała nam problemów z nauką – powiedziałem.

Kobieta podniosła głowę. Z dokładnością sapera kolejny raz zlustrowałem każdy szczegół jej twarzy. Nie, nie kojarzyłem tej osoby. Może tylko przypadkowo mijaliśmy się na szkolnym korytarzu? A może znajomość była na tyle ulotna, że czas bezpowrotnie zatarł wszelkie ślady?

– Sama jestem zaskoczona – powiedziała, przerywając moje myśli. – Trzy jedynki w ciągu miesiąca. – Zrobiła pauzę, a po chwili zapytała: – Czy Justyna miała ostatnio jakieś problemy?

– Nie. Nie zauważyliśmy z żoną, żeby działo się z nią coś niepokojącego.

– Najlepiej będzie, jeśli porozmawia pan osobiście z panią od fizyki. Powinna być w pokoju nauczycielskim.

Przemierzałem długi korytarz z rzędami drzwi do sal lekcyjnych. Próbowałem przypisać przedmioty do mijanych pracowni. Polski, biologia, chemia. Pamiętam, że każde pomieszczenie miało swój charakterystyczny zapach: książek, które posłusznie stały na regałach, kusząc młodzieńczą wyobraźnię, wilgoci zielistek, rafidofor i fikusów, które prężyły się dumnie aż pod sam sufit niczym w amazońskiej puszczy, odczynników, z których wyczarowywaliśmy nowe byty chemiczne, a których ostro woń drażniła nozdrza. Otrząsając się ze wspomnień, zszedłem schodami na parter. Chwilę później znalazłem się przy pokoju nauczycielskim. I wtedy usłyszałem głos mojej córki.

– Tatusiu, poczekaj.

Zanim zdążyłem się odwrócić, była już przy moim boku. Spoglądały na mnie dwie pary oczu: niebieskie Justyny i orzechowe, należące do jej najlepszej przyjaciółki Ewy. Dziewczyny znały się jeszcze od szkoły podstawowej. Teraz uczęszczały do tej samej klasy. Ewa w zasadzie była niemal członkiem naszej rodziny. Traktowaliśmy ją jak drugą córkę.

– Wszystko ci wytłumaczę – powiedziała cichutko. – Widzisz...

Przerwałem jej w pół słowa:

– Właśnie widzę. Trzy jedynki z fizyki! Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?! Przecież byśmy razem coś wymyślili, jakąś pomoc, nie wiem, dodatkowe lekcje, korepetycje... – Nie kryłem irytacji.

– Tato, pozwól mi wyjaśnić.

Chciałem porozmawiać z córką na osobności. Spojrzałem więc na Ewę raz i drugi, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna się oddalić. Tymczasem dziewczyna nie ruszała się z miejsca. Pomyślałem, że albo nie pojęła niewerbalnej aluzji, co przy jej inteligencji wydawało się jednak mało prawdopodobne, albo... No tak, pewnie będzie adwokatem mojej córki. Nie ma co, sprytnie to sobie ułożyły, podziwiałem w myślach dziewczęcą przebiegłość.

– Ja... ja nie chciałam was martwić. Ewa może potwierdzić. Prawda?

Dziewczyna przytaknęła głową. Kosmyki jasnobrązowych włosów rozsypały się po jej drobnej twarzy. – To prawda, proszę pana.

– Najpierw dostałam jedną jedynkę – ciągnęła Justyna. – Myślałam, że poprawię, dlatego nic nie powiedziałam. A potem... – zamilkła.

– Co było potem? – ponagliłem ją.

– Justyna naprawdę próbowała poprawić – odezwała się przyjaciółka. – Razem się uczyliśmy.

– I?

– No wiesz, tato...

– Domyślam się. Nie poprawiłaś i poszło lawinowo. Czy tak właśnie było?

– Tak – odparła moja córka ściszoneg głosem.

Zmarszczyłem czoło.

– Dalej jednak nie rozumiem, dlaczego czekałaś z tym aż do wywiadówki.

– Justyna naprawdę nie chciała państwa martwić. Przygotowywałyśmy się do sprawdzianu. Myślałam, że pomogę, ale... – Ewa spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

Poprawiłem okulary, które zsunęły się niemal na czubek nosa, i odpowiedziałem:

– To bardzo ładnie z twojej strony, że chciałaś pomóc przyjaciółce, jednak mamy połowę maja, a ona jest zagrożona z fizyki.

Przez dobrą chwilę staliśmy w milczeniu. Justyna nerwowo skubała palce prawej ręki.

– Idziemy do pani od fizyki – powiedziałem stanowczo. – Czy możesz poczekać na korytarzu? – zwróciłem się do Ewy.

– Będę czekać przed szkołą. – Odgarnęła włosy z twarzy.

– Świetnie.

Weszliśmy do pokoju nauczycielskiego. Rozmowa z nauczycielką była krótka, ale konkretna: zakres materiału do nauki wraz z wyznaczonymi terminami zaliczeń.

– Masz dobry miesiąc na poprawę – dodała na zakończenie.

Justyna posłusznie skinęła głową. Objąłem córkę ramieniem.

– Od jutra bierzesz się ostro do roboty, moja panno. Wieczorem zadzwonię do wujka Adama. Mam nadzieję, że zgodzi się udzielić ci paru lekcji.

– Tato, mam prośbę.



– Jaką tym razem?

Przystanęła i popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– Nie powiesz mamie?

Nic nie odparłem, chociaż odpowiedź była dla mnie oczywista. Nie potrafiłem odmówić swojej jedynaczce. Kochałem ją miłością bezwarunkową, od momentu gdy zaraz po urodzeniu ścisnęła mój palec.

Kiedy znaleźliśmy się przy wyjściu, ponownie zapytała:

– Więc jak będzie, tato?

Trzymałem ją jeszcze chwilę w niepewności. Przeszliśmy przez szkolną bramę wykutą z trudów i sukcesów kilkudziesięciu pokoleń maturzystów. Ewa czekała na ulicy.

– Dobrze. Niczego nie powiem.

– Obiecujesz?

– Czy kiedykolwiek złamałem dane słowo?

– Nie – przyznała, a po chwili wesołym już tonem dodała: – Jesteś przykładem dobra, prawdy i piękna.

Uśmiechnąłem się. Mile połechtala moją ojcowską próżność.

– Z tym trzecim to przesadziłaś – odparłem żartobliwie.

– Lubię twoje poczucie humoru, tato.

Odchrząknąłem.

– Wiesz, że stopnie w szkole traktuję nader poważnie.

Zmierzałyśmy w kierunku przystanku tramwajowego. Minęliśmy cukiernię, w której niegdyś zawsze kupowałem wyśmienite bajaderki. Po chwili doszliśmy do skwerku z nieczynną fontanną.

– Justyna na pewno poprawi tę nieszczęsną fizykę. Mogę za nią ręczyć – powiedziała Ewa. W gasnącym słońcu jej ciemne tęczówki nabrały połysku: stały się złote.

– No proszę! W razie czego będę wiedział, do kogo mam składać zażalenie.

Tramwaj długo nie nadjeżdżał. Na trasie zdarzyła się awaria i spędziliśmy na przystanku blisko godzinę.

– Nareszcie jedzie! – zawołała Ewa.

Z trudem wcisnęliśmy się do środka. Stałem w tłumie pasażerów, bezwolnie poddając się szarpiącym ruchom pojazdu, i obmyślałem, co powiedzieć Ani. Kartkę z ocenami Justyny przeornie schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przede wszystkim muszę być skoncentrowany, żeby nie zdradzić się jakimś niepotrzebnym słowem. O nieprzyjemnej sprawie najlepiej milczeć. Co prawda nie przepadam za niedomówieniami, a kłamstwa nie nawidzę, tyle że... to przecież miało być kłamstwo w dobrej wierze. Zresztą ufałem, że mała – tak wciąż myślałem o swojej nastoletniej córce – poprawi tę nieszczęsną fizykę. Miałem nadzieję, że Ani nie przyjdzie do głowy pomysł, by osobiście skontaktować się z wychowawczynią. Jak dotąd nigdy tego nie zrobiła, ale... No właśnie, pozostaje to nieodgadnione ludzkie „ale”. Jeżeli zwykła maszyna jest w stanie się wyłamać z zaprogramowanego systemu działania, płatając nam psikusa, to cóż dopiero człowiek, którego instrukcja obsługi, pomimo starań tylu pokoleń mędrców, wciąż pozostaje najdoskonalszym szyfrem na Ziemi?

Kiedy wysiedliśmy w Oliwie, porządnie już zmierzchało.

– Odwiozę cię do domu. – Spojrzałem na Ewę. – Poczekajcie przy samochodzie. Skoczę tylko na górę po kluczyki i dowód rejestracyjny. – Szybko wykonałem telefon do Adama, by upewnić się, że znajdzie czas na korepetycje.

Chwilę później przebijałem się przez Grunwaldzką. Reflektory rozlały światła po całej ulicy, z daleka pewnie przypominając gigantyczne pole gwiazd.

Dziewczyny chichotały na tylnym siedzeniu.

– Co wam tak wesoło? – zapytałem, zerkając we wsteczne lusterko.

– A, taka tam historia – odparła Justyna z uśmiechem.

– Czyżby historia związana z twoją fizyką?

– Tato! Obiecałeś!

– Chcę tylko przypomnieć, że od soboty masz lekcje u wujka Adama. Zgodził się pomóc. Wyjaśniłem mu, że czeka cię trudny sprawdzian z całego materiału.

Skreśliłem w prawo i zatrzymałem się pod blokiem, w którym mieszkała Ewa. Justyna przeskoczyła na przednie siedzenie.

– Do widzenia – powiedziała przyjaciółka, a potem stała przez chwilę na chodniku, przyglądając się, jak manewruję, żeby wyjść z ciasnego parkingu. W pewnym momencie uniosła rękę i rozsuwając szeroko palce, jakby chciała uchwycić kawałek nieba, pomachała nam na pożegnanie.

Kiedy zostaliśmy sami, moja córka powiedziała poważnie:

– Dziękuję, tato. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Wszystko poprawię. Nie martw się. – Cmoknęła mnie w policzek.

14 maja 2008

Następnego dnia obudziłem się kilka minut po piątej. Leżąc w łóżku, usiłowałem ponownie zapaść w sen, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Nie zmrużyłem już oka. Słyszałem gwizd czajnika, brzęk naczyń, odgłos odsuwanej krzesła. Moja żona szykowała się do pracy. Trzy razy w tygodniu miała poranny dyżur w przychodni i wstawała o świcie. Kiedy zjawiłem się w kuchni, właśnie kończyła jeść śniadanie.

– Co tak wcześnie wstałeś? – Spojrzała z niedowierzaniem. Znała mnie dobrze. Wiedziała, że nie przepadam za zrywaniem się z łóżka, jeśli nie ma potrzeby.

– Sam nie wiem. Jakoś nie mogę zasnąć – odparłem, rozciągając ramiona. Wsypałem do kubka dwie czubate łyżeczki kawy. – Może po prostu się wyspałem. Poza tym jestem tak podekscytowany, że mógłbym góry przenosić. Dosłownie.

– A co cię tak ekscytuje?

Zalałem kawę wrzątkiem, wyjąłem z lodówki mleko i podgrzałem niewielką ilość w rondelku.

– Mówiłem ci, że dzisiaj zamykamy drugi etap badań. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce przechodzimy do kolejnej, przedostatniej fazy.

– Faktycznie! Przepraszam cię, Tomku, ale zupełnie wyleciało mi z głowy. Cieszę się! Oczywiście, że się cieszę! – powiedziała, wstając od stołu. – Mam nadzieję, że nie napotkacie jakichś nieprzewidzianych trudności. A profesor Wolski będzie? Ostatnio wspominałeś, że jest chory.

Profesor Tadeusz Wolski był kierownikiem naszego zespołu, ojcem projektu badawczego nad lekiem antynowotworowym, który od wielu miesięcy pochłaniał nas niemal bez reszty.

– Na zamknięcie etapu profesor przyszedłby nawet z gorączką i z wysypką. Wiesz przecież, że bez niego nic się nie dzieje, co się dzieje – zażartowałem. – Nie pamiętam, czy ci wspominałem, że prawdopodobnie w tym roku odejdzie na emeryturę.

– Tak? A wiadomo już, kto przejmie jego obowiązki?

Wzruszyłem ramionami.

– Pojęcia nie mam. Być może Paweł. Myślę, że nadawałby się do kierowania zespołem.

Ania stanęła przed lustrem w przedpokoju. Otworzyła torbę i wyciągnęła z przegródki pomadkę. Jej usta nabrały koloru soczystej brzoskwini.

– Słuchaj, a może to właśnie ty powinieneś ubiegać się o to stanowisko?

– Ja? – Podniosłem wzrok znad kubka z kawą.

– A dlaczego nie? Przecież wiele razy mówiłeś, że Wolski cię uwielbia, więc na pewno poprze. Poza tym jesteś naprawdę świetny.

– Tak, ale... to chyba mało prawdopodobne. – Lekko się zarumieniałem. Awans sprawiłby mi dużą radość, jednak nie rozważałem tego na poważnie.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Ania zabręczała kluczykami od samochodu. – Biorę autko.

– Jak zwykle – westchnąłem.

Odkąd pół roku temu zrobiła prawo jazdy, coraz rzadziej jeździłem naszym oplem. Musiałem przerzucić się na komunikację miejską, za którą nie przepadałem. Co prawda cierpliwie to znosiłem, ale jazda zatłoczonymi tramwajami stawała się dla mnie coraz bardziej uciążliwa.

– Musimy pomyśleć o kupnie drugiego samochodu. I to jak najszybciej. – Wziąłem duży łyk kawy. – Aniu, w bagażniku znajdują się moje materiały. Są w takiej granatowej torbie z lewej strony. Uważaj, jak będziesz wkładała zakupy.

– To może zejdź teraz ze mną i zabierz wszystko do domu?

Rozsiadłem się wygodnie na krześle.

– Potrzebuję ich dopiero na jutrzejsze wykłady. Wezmę wieczorem.

– Jak chcesz. Dziś wracam późno. Środa – powiedziała, zakładając buty.

– No tak, środa. Chyba za dużo pracujesz. Skaczesz z przychodni do przychodni. Tu dyżur rano, tam po południu. I po co tak się męczysz? – Spojrzałem na żonę z troską. – Może czas w końcu coś zmienić, nie uważasz?

– Pomyślę o tym – odparła tonem, który nie pozostawiał znaków zapytania.

Wiedziałem, że niczego nie zmieni. W każdym razie jeszcze nie teraz. Nie była na to gotowa. Ale przynajmniej zasiałem ziarenko wątpliwości w nadziei, że któregoś dnia zakiełkuje.

– Aha, samochód coś kiepsko pali. Chyba akumulator... – dodała.

– Całkiem możliwe. W końcu ma swoje lata. Wieczorem podładuję go w garażu.

Przetarłem chusteczką okulary. Przyjrzałem się szkłom: nareszcie odzyskały przejrzystość. Wtedy sobie o czymś przypomniałem.

– Zupełnie wyleciało mi z głowy. – Puknąłem się w czoło. – Zaproszono nas na małe świętowanie z okazji zakończenia etapu. Będzie dziekan.

– Uczelniane pijaństwo czy raczej nudny dystyngowany obiad?  
– Uśmiechnęła się prowokująco.

– Obiad i toast. No, może dwa toasty. – Puściłem do niej filuternie oko. – Uczelniane pijaństwo dopiero po zamknięciu badań.

Nastawiłem czajnik z wodą na drugą kawę.

– O której się spotykacie?

– O szesnastej.

– Wobec tego baw się dobrze.

– Myślę, że wszystko potrwa ze dwie, no, góra trzy godziny. I tak pewnie wrócę do domu przed tobą.

Jeszcze raz zerknęła w lustro i delikatnie odgarnęła z czoła niesforne włosy.

– Pa!

Czajnik zagwizdał pełną parą. Zalałem kawę, z lodówki wyjąłem resztki wędliny i jajka. Wsypałem do czarnego naparu odrobinę cukru. Wtedy usłyszałem, jak otwierają się drzwi wejściowe. Zaniepokojony oderwałem wzrok od kubka z kawą i spojrzałem w stronę przedpokoju.

– Co się stało? – zapytałem, nie kryjąc zdziwienia na widok mojej żony. – Pewnie czegoś zapomniałaś?

– Tak. Zapomniałam zapytać, czy znalazłeś kartkę z ocenami Justyny.

Poczułem się niezręcznie, niemniej starałem się zachować zimną krew.

– I tylko po to wróciłaś? – spytałem przekornie.

– Tak. To bardzo ważne. Muszę znać jej oceny.

Kucnąłem i otworzyłem dolną szafkę, żeby ukryć zmieszanie. Wczoraj wieczorem udawałem, że nie mogę znaleźć tej nieszczęsnej

kartki. Szukałem z przejęciem po kieszeniach, w portfelu, w torbie. Nie ma, pewnie gdzieś ją zawieruszyłem, tłumaczyłem się pokrętnie. Naiwnie sądziłem, że sprawa zgubionego raportu szkolnego została zamknięta. Musiałem dalej prowadzić grę, w którą wplątała mnie córka. Nie, teraz nie było już odwrotu.

– A wiesz, że jeszcze raz przetrząsnąłem wszystkie możliwe miejsca i nigdzie jej nie ma? Widocznie musiała wypaść mi gdzieś po drodze. – Patrzyłem na zafrasowaną minę żony. – Aniu, naprawdę nie ma powodów do niepokoju. Justyna ma całkiem przyzwoite oceny. Polski rewelacyjnie, historia też, angielski, rosyjski... Co tam jeszcze?

– Matematyka – odpowiedziała.

– Matematyka całkiem dobrze.

– Chemia, fizyka...

– O ile pamiętam, to chemia dobrze, a fizyka... zadowolająco. No może czwórki na koniec roku nie uzyska, ale to w końcu liceum. Nie byle jakie liceum. – Uśmiechałem się, usiłując zachować spokój.

– Podobno planują wprowadzić w szkołach dziennik elektroniczny. Czy wychowawczynie o tym wspominała?

– Nie, nic nie mówiła.

Moja żona odwróciła się i wyszła. Obserwowałem, jak wsiada do samochodu. Odpaliła silnik i włączyła światła. Wychyliłem głowę przez okno: auto wolno sunęło po brukowanej ulicy, aż w końcu zniknęło mi z oczu. Odetchnąłem z ulgą. Najważniejszą część spektaklu odegrałem całkiem dobrze. Zręcznie zamaskowałem zmieszanie. Nie, niczego się nie domyśliła. Ot, zwykły przypadek sprawił, że zgubiłem po drodze kartkę z ocenami. Justyna nigdy nie sprawiała problemów, więc Ania nie miała powodów, żeby mi nie wierzyć. Czuję się trochę głupio, że oszukałem własną żonę, ale czego ojciec nie robi dla ukochanej jedynaczki? Liczyłem, że



dziewczyna szybko poprawi fatalne oceny z fizyki i wszystko zakończy się pomyślnie.

Ubrałem się, spakowałem do teczki kanapkę oraz butelkę wody mineralnej i poszedłem na przystanek tramwajowy. Przy pętli w Oliwie natknąłem się na Jana. Tak go nazywali mieszkańcy okolicznych ulic, chociaż podobno nie było to jego prawdziwe imię. Niegdyś malował oliwskie impresje: katedrę o różnych porach dnia i roku, brukowane ulice, zza których wylaniały się morenowe wzgórza, lipową aleję w parku. Odkąd stracił prawą rękę, stał się dla sztuki nieprzydatny. Z artysty przeobraził się w żebraka i w ten sposób zarabiał na życie. Znałem go od wielu lat. Spotykaliśmy się zawsze przypadkiem, najczęściej tu, na pętli. Po raz pierwszy dostrzegłem Jana pewnego jesienno-go dnia, kiedy siedział na przystankowej ławce. W lewej ręce trzymał bułkę, którą jadł małymi kęsami, i zamyślonym wzrokiem odprowadzał podróżnych do tramwajów. Spojrzeliśmy na siebie mimochodem. Nienachalnie. Miał duże mądre oczy. Oczy inteligentne. Pomyślałem, że niejedno w życiu oglądały. Sam mnie zaczął i zaczęliśmy rozmawiać o tym, że ładna pogoda, chociaż zanosilo się na deszcz i zaciął wiatr. Tak rozpoczęła się nasza znajomość.

Jan skłonił głowę w moim kierunku.

– Dzień dobry. Ładny dzisiaj dzień, prawda?

Spojrzałem do góry. Niebo miało kolor spienionego mleka, które wykpiąło z ogromnego garnka, zalewając cały horyzont.

– Ładny? – Skrzywiłem się. – Tyle że nie pada – powiedziałem. Wygrzebałem z portfela monetę i wcisnąłem ją do ręki mężczyzny.

– To właśnie miałem na myśli. Na deszcz się nie zanosilo. – Trzęsącymi palcami schował pieniążek do kieszeni poplamionych spodni.

– Bardzo dziękuję. Miłego dnia życzę.

– Wzajemnie – odparłem, wchodząc do tramwaju.

Cały nasz pięcioosobowy zespół badawczy przybył do laboratorium grubo przed czasem. Wszyscy byliśmy podekscytowani. W napięciu oczekiwaliśmy końcowych wyliczeń. Profesor, który zawsze uwielbiał żartować i opowiadać anegdoty, pogrążył się w milczeniu. Punktualnie o godzinie dwunastej wprowadziłem do komputera ostatnie dane. Przez kilkanaście minut maszyna wydawała odgłosy rozjuszonego zwierza, który dorwał ofiarę i rozrywał ją na kawałki. Potem wszystko umilkło, tylko mrugające czerwonym światłem diody informowały o nieustannym procesie trawienia. Aż wreszcie na ekranie pojawiły się ciągi cyfr. Odetchnąłem z ulgą.

– No, panowie, gotowe! – zawołałem radośnie, klikając przycisk drukarki.

Staliśmy jak zahipnotyzowani, wpatrując się, jak maszyna wypłuwa kolejne kartki.

Wolski wziął do ręki wielostronicowy dokument. Dostrzegłem błysk zachwytu w jego oczach.

– Mam wrażenie, jakbym odbierał poród własnego dziecka – powiedział rozedrganym ze wzruszenia głosem. – Powinniśmy to uczcić. – Przesunął ręką po czubku głowy, przyklepując niesforne kosmyki mocno przeredzonych włosów. Zrobił to bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności.

Przyjrzałem mu się uważnie, jakbym widział go pierwszy raz w życiu. Niewysoki mężczyzna o drobnej posturze. Człowiek pasjonat, dla którego nauka stanowi istotę życia. Gdyby nie on i jego determinacja, nasz projekt nigdy nie ruszyłby z miejsca. To Wolski zdobył fundusze na badania i skompletował zespół.

Spojrzałem na niebo. Przez gęstwinę mlecznych chmur nieśmiało próbował przebić się słaby blask słońca. Za oknem na parapiecie przysiadła para gołębi. Małymi oczami obserwowały nasz

ludzki świat. Nawet one były poruszone. A może tak tylko mi się zdawało? Może w tamtej chwili zatarła się granica między rzeczywistością a jej projekcją?

– Dziękuję wam. – Wolski uśmiechnął się do nas. Na odsto-  
niętym czole zalśniły kropelki potu. Wyjął z kieszeni chustecz-  
kę i przetarł twarz. – Radek, Marcin, Paweł, Tomasz. Dziękuję.  
– Gratulował każdemu z osobna, ściskając ręce. Na końcu pod-  
szedł do mnie. – Tomaszu, dziękuję. – Jego oczy patrzyły życzli-  
wie. – Jesteś filarem naszego zespołu. Postawiłem na ciebie i się  
nie pomyliłem.

– Jesteśmy drużyną. Każdy z nas wnosi coś szczególnego w ten  
projekt – odparłem.

– Oczywiście. Jednak ty masz duszę naukowca. Już dawno nie  
spotkałem człowieka o tak wyostrzonej intuicji badawczej. – Po-  
klepał mnie po ramieniu. – Panowie, zgodnie z ustaleniami spoty-  
kamy się o godzinie szesnastej na uroczystym obiedzie z toastem.  
– Wzniósł w górę palec. – Macie jeszcze chwilkę, żeby wskoczyć  
w garnitury i odstawić samochody. – Uśmiechnął się znacząco, a po  
chwili dodał: – Będą oficjalni goście i prasa.

Do Zielonej Oliwki udałem się na piechotę. Przy wejściu do re-  
stauracji czekali już na nas dziennikarz z fotoreporterem.

– Proszę ustawić się do zdjęcia, panowie! – komenderował fo-  
tograf, zaganiając całą ekipę pod ścianę. – Proszę się uśmiechnąć!  
O, właśnie tak! Uśmiech!

Pstryk!

– Uwaga, jeszcze raz!

Dziennikarz przeprowadzał wywiad z Wolskim i z dziekanem  
naszego wydziału.

– To wielka szansa dla nauki i dla tysięcy ludzi chorych na raka –  
mówił profesor.

Dziennikarz przerastał Wolskiego o głowę, mimo to spoglądał na drobną postać wielkiego naukowca z nieskrywanym podziwem.

– Jesteśmy dumni, że to właśnie Gdańsk, nasze rodzinne miasto, jest kolebką tych badań – dodał dziekan.

Kiedy dziennikarze wyszli, mogliśmy spokojnie zjeść obiad i porozmawiać.

– Życzę wam i sobie samemu, żebyśmy nie ustali w pasji badawczej, bo to właśnie ów niekontrolowany zapal jest paliwem, które nadaje siłę całemu przedsięwzięciu. Bez niego pozostaje tylko obowiązek, a z obowiązku, owszem, można coś zrobić, coś zbudować, ale nie da się w takim owocu pracy odnaleźć śladu ducha. Brakuje tam iskry – powiedział Wolski, wznosząc kolejny toast.

Czerwone hiszpańskie wino smakowało wrysmienicie.

Kiedy wróciłem do domu, dochodziła dwudziesta. W mieszkaniu panowała cisza. Justyna ślęczała nad zadaniami z fizyki, a Ani jeszcze nie było. Zdjąłem garnitur i położyłem się na kanapie. Zamknąłem oczy. Byłem zlakniony odpoczynku. Pragnąłem na moment zakłuczyć wszelkie myśli i zapaść się w niebyt. Nie było to jednak takie proste. Mózg nie jest maszyną, która bezwzględnie podporządkowuje się woli człowieka. Laboratorium, ciąg cyfr na monitorze komputera, wzruszony głos Wolskiego, gdy gratulował nam sukcesu – myśli tłukły się po mojej głowie i nie potrafiłem ich wyłączyć. Byłem piekielnie zmęczony, ale szczęśliwy. Kluczowy etap projektu badań nad lekiem na raka uwieńczyliśmy sukcesem. Czuję się wielki.

Właściwie tamten dzień mógł się zakończyć na godzinie dwudziestej. Potem, jak co wieczór, wykonałbym szereg zwyczajnych czynności, tak codziennych i udomowionych, że nawet niewartych wspomnienia. Kolacja, jakiś program w telewizji, o którym następnego dnia z pewnością bym nie pamiętał, przysznic, mycie

zębów, ewentualnie parę stron książki przed snem. Stało się jednak inaczej.

– Nie mogę zapalić samochodu! – Głos rozpaczy po drugiej stronie słuchawki wyrwał mnie z błogostanu.

Zerwałem się z kanapy.

– Gdzie jesteś, Aniu? – zapytałem.

– We Wrzeszczu. Zaparkowałam na Matejki.

Przetarłem obolałe ze zmęczenia oczy.

– Spokojnie. Powiedz mi, co się dzieje, gdy przekręcasz kluczyk w stacyjce. Czy coś słyszysz?

– Nic się nie dzieje. Cisza – odparła, a po chwili dodała:

– No, może trochę słychać jakby rżenie.

Cholera, to akumulator. A może rozrusznik. Licho wie! Po raz kolejny przemierzałem długość pokoju od ściany do okna. Jasny gwint, że też musiało to stać się właśnie teraz!

– Posłuchaj, wracaj do domu, a ja podjadę do Wrzeszcza. Jeśli to akumulator, to może uda mi się go uruchomić. Wezwę taksówkę na miejsce i odpalę po kablach.

– Dobrze. Idę na przystanek – odparła.

Słyszałem jej przyspieszony oddech. Nie rozłączałem się.

– A Justyna? Jest w domu?

– Tak. Uczy się.

– W bagażniku zostawiłam zakupy, a na tylnym siedzeniu stoi moja zielona torba. W środku są teczki z ważną dokumentacją – mówiła zdyszczanym głosem. – Jeśli go nie odpalisz, to przyniesiesz chociaż tę torbę. Jest ciężka – dodała.

– Dobrze, będę pamiętał. – Przypomniałem sobie o moich materiałach na jutrzejsze zajęcia.

Wyciągnąłem zapasowe kluczyki, przyniosłem z piwnicy kable, ubrałem się i wyszedłem z domu. Tramwaj przyjechał dość

szybko. Zająłem miejsce i bezmyślnie gapilem się w okno. Ania jedzie w przeciwnym kierunku. Może jest w tym tramwaju, który właśnie nas mija? Przykleiłem wzrok do szyby, usiłując wypatrzeć żonę. Pojazdy pędziły z ogromną prędkością. Momentami wydawało mi się, że za chwilę wypadniemy z torów albo uniesiemy się w powietrze. Pół godziny później dotarłem na miejsce. Samochód stał tuż przy bramie wejściowej na dziedziniec kościoła Świętych Apostołów Piotra i Pawła.

Otworzyłem drzwi opla i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Na desce rozdzielczej rozbłyły kontrolki. Coś w środku nieśmiało zakręciło, po czym ucichło. Raz, drugi, trzeci. Mechanizm bezskutecznie próbował wprawić silnik w ruch. Wrzuciłem na luz i delikatnie popchnąłem auto jakiś metr do przodu. Jeszcze raz włączyłem zapłon, całym ciężarem stopy wciskając pedał gazu. Tym razem samochód zaskoczył. Odetchnąłem z ulgą. Chwilę później ruszyłem w drogę powrotną.

Miasto powoli zapadało w szarość nadchodzącego wieczoru, którą rozświetlały pulsujące krzykliwymi barwami neony. Zatrzymałem się na czerwonym świetle tuż przy dawnym domu towarowym Neptun. Otworzyłem szeroko okno i momentalnie poczułem na twarzy rześkie wieczorne powietrze. Wziąłem głęboki oddech. To wygląda na usterkę rozrusznika, przyszło mi do głowy. Mimo to podłączę akumulator w garażu do ładowania, a jeśli jutro auto nie odpali, zaprowadzę je do warsztatu. Niech sprawdzą, co się dzieje. Może zawiesiły się szczotki? Albo nawalił bendiks tak jak w naszym starym peugeocie?

Nie zauważyłem, jak zapaliło się zielone światło i dopiero ostry dźwięk klaksonu wyrwał mnie z zamyślenia. Chwilę później dojechałem do skrzyżowania. Opuściłem ruchliwą arterię i znalazłem się na alei Wojska Polskiego. W oknach po obydwu stronach drogi

rozbłyskały pierwsze światła. W resztkach odchodzącego dnia drzewa wzdłuż ulicy stały się jasnogranatowe. Jakiś pies samopas biegł po chodniku. Może zgubił właściciela? Droga była pusta, jedynie w kierunku Wrzeszcza przejechał jasno oświetlony samotny tramwaj. Mknąłem gładko, od czasu do czasu zerkając na wzgórza w oddali, które pokrywały się ciemnymi plamami wieczoru. Zastanawiałem się nad wyborem mechanika. Nowacki? Hm, on ma zawsze długie terminy. Odpada. Ten we Wrzeszczu partaczy robotę, więc do niego na pewno nie pojedę. Na Elbląskiej robią dobrze, tylko to trochę daleko. Jeśli oddam auto jutro z samego rana, to... W tym momencie poczułem uderzenie. Pojazd zawirował. Ostry, bolesny krzyk przeciął pustkę ulicy. Coś twardego odbiło się jak piłka od maski samochodu i potoczyło po asfalcie. Ciemny kształt, który zbił się w nieforemną masę, odskoczył. Świat stanął w miejscu. Z całej siły wcisnąłem hamulec. Zastygłem w oczekiwaniu. Krzyk jeszcze wibrował w moich uszach, kołysał się słabnącym rytmem, aż w końcu ucichł. Przez moment nic nie widziałem.

Muszę wysiąść, pomyślałem, ale zamiast tego mocno zacisnąłem palce na kierownicy i wolno ruszyłem do przodu. Wpatrywałem się w boczne lustro. Niczego nie dostrzegłem. Wrzuciłem jałowy bieg, lekko zwolniłem. I wtedy... Zamarłem z przerażenia: po lewym pasie toczyło się koło od roweru. Nie, to niemożliwe! Położyłem stopę na hamulcu. Muszę się zatrzymać! Mijałem budynki uniwersyteckie. Tam stanę, powtarzałem w myślach. Albo nie, jeszcze nie tam. Odgarnąłem włosy z mokrego od potu czoła. Zjechałem na lewy pas i zawróciłem na skrzyżowaniu. Rozejrzałem się uważnie. Droga była zupełnie pusta. Jechałem powoli, wyężając wzrok. To chyba będzie gdzieś tam, gdzie rosną te trzy drzewa, usiłowałem zebrać myśli. Serce mi łomotało, zupełnie jakby chciało oderwać się i uciec od reszty ciała. Wtedy ponownie dostrzegłem

koło od roweru. Zastygłe w bezruchu leżało na drodze. Chwilę później ujrzałem coś jeszcze.

Wjechałem w boczną uliczkę i zaparkowałem przy skraju jezdni między drzewami. Chciałem wysiąść, ale nie mogłem się ruszyć. Drżałem na całym ciele. Oparłem głowę o kierownicę i zacisnąłem mocno powieki. Obrazy przesuwały się jak w kalejdoskopie. Koło od roweru i ludzka noga wykrzywiona w jakiejś nienaturalnej pozycji. Biały but na ciemnej plamie asfaltu. Kobieta? Mężczyzna? Nie, to niemożliwe! Nie mogłem tego zrobić! W uszach czułem łomot pulsującej krwi. Zdawało mi się, że znalazłem się na granicy rzeczywistości i snu. A jeśli to prawda?! Jeśli to faktycznie się zdarzyło?! Nie, nie, nie! Boże mój! Muszę coś zrobić! Wezwać pomoc! Tamten człowiek! Wygrzebałem z kieszeni telefon. Jaki to numer? Gdzie dzwonić? Pogotowie? Policja? Sztywnymi ze strachu palcami próbowałem coś wystukać. Komórka wypadła mi z ręki. Nie, nie mogę! Nie dam rady! Bałem się, co będzie dalej. Moja rodzina... Ania... Justyna... Moja praca... Badania nad lekiem... Co mam robić? Boże, co robić? Przez moment odniosłem wrażenie, że idę miękkim chodnikiem, że płynę po asfalcie. Świat dziwnie się rozrzedził. Kontury ulicy, drzew, budynków uniwersyteckich jeszcze istniały, ale kształt ledwie utrzymywał w swoich granicach gotową się rozpaść materię. Unosiłem się niczym oderwany od własnego ciała. Wokół panowała pustka. Czułem się spokojnie w tym rozmytym i niespoistym świecie. Potem usłyszałem dźwięk, bardzo stłumiony, metaliczny. Ocknąłem się. Patrzyłem bezwolnie przed siebie. Wciąż go słyszałem. Teraz był wyraźny, niepokojący.

Telefon!

Schyliłem się i namacałem na podłodze aparat. Spojrzałem na ekran: nieodebrane połączenie. Ania. Była dokładnie dwudziesta druga osiemnaście. Nie wiem, o której to się stało i jak długo



siedziałem w samochodzie. Straciłem rachubę czasu. Odpaliłem silnik. Ku mojemu niedowierzaniu auto zaskoczyło bez problemów. Otworzyłem okno i zachłannie wdychałem chłodne powietrze. Wzgórza roztopiły się w ciemności zmierzchu. Pozostała tylko ledwo uchwytna falista linia na horyzoncie. Wbiłem się plecami w oparcie fotela, zdjąłem okulary i potarłem oczy, aż poczułem piekący suchy ból pod powiekami.

Muszę tam wrócić, powtarzałem w myślach jak mantrę. Przypomniałem sobie, że przecież mam przy sobie drugi telefon, ten na kartę. Zadzwonię po pomoc, a potem wyrzucę SIM. Tak właśnie zrobię, postanowiłem. Ponownie włożyłem szkła i ruszyłem przed siebie. Chwilę później dojechałem do skrzyżowania. Skręciłem w główną ulicę. Wtedy ujrzałem w oddali ostry błysk niebieskich świateł karetki mknącej na sygnale. Więc ten człowiek żyje, pomyślałem i odetchnąłem z ulgą. Zachowując przytomność umysłu, szybko zawróciłem i udałem się za ambulansem. Jechaliśmy w kierunku szpitala na Zaspie. Nie gasząc silnika, zatrzymałem się w bezpiecznej odległości, skąd mogłem obserwować główne wejście na pogotowie. Postać w białym fartuchu wyszła z budynku i podbiegła do samochodu. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund. Drzwi karetki otworzyły się, dwaj ratownicy w czerwonych odblaskowych ubraniach wyprowadzili łożko. Wytężając wzrok, dostrzegłem wypukły leżący kształt. Mlecznobiała brama uniosła się i po chwili zniknęli wewnątrz budynku. Pójdę tam. Muszę zapytać, co z tym człowiekiem, postanowiłem. Wtedy znowu zadzwoniła komórka.

– Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie odbierasz telefonu?! – pytała Ania z nieskrywanym niepokojem.

Wziąłem głęboki oddech. Najważniejsze, żeby niczym się nie zdradzić. Nie dać po sobie poznać.

- Nie mogłem uruchomić auta. Ale już wszystko w porządku.
- Staralem się zachować spokój.
- Gdzie jesteś?
- W drodze do domu.
- Zamilkła. Niemal słyszałem jej oddech.
- Niepokoiłam się.
- Za chwilę będę.

Jechałem pustymi ulicami, z trudem opanowując drżenie rąk. Dziękuję Bogu, ten człowiek żyje! A ja? Co ja mam teraz zrobić? Iść na policję i przyznać się do wszystkiego? Tak, byłem na służbowej imprezie, gdzie piłem alkohol. Kilka godzin później wsiadłem za kierownicę i przejechałem rowerzystę, którego po prostu nie widziałem. Zagapiłem się, zamyśliłem, nie wiem. Po prostu nie wiem, kurwa mać! Tak, uciekłem z miejsca wypadku, nie udzielając ran-nemu pomocy! Zostawiłem kogoś na pastwę losu! Tak, zachowa-łem się jak najzwyczajniejszy łajdak! Drań! Pospolity, podły łajdak! Za-gryzłem wargi aż do krwi.

Poniosę karę. W świetle prawa jestem winny. Powinienem po-nieść konsekwencje. Tak. To będzie koniec mojego życia. Czeka mnie sąd, prokurator, wyrok. Pójdę do więzienia, którego zapew-ne szybko nie opuścę. Tylko co dalej? Co z badaniami nad lekiem na raka? Miliony czekają na ratunek! Mam to tak po prostu zоста-wić?! Przekreślić?! Tyle lat żmudnej pracy w laboratorium, wielo-godzinne ślęczenie nad skomplikowanymi wzorami chemiczny-mi! Czy jedna tragiczna chwila ma zdecydować o reszcie mojego życia?! Więzienie! Do tej pory to słowo istniało w jakiejś abstrak-cyjnej, rozciągniętej rzeczywistości. A teraz? Poczulem, jak struż-ka potu cieknie mi po plecach. Koszula przywarła do ciała jak lep-kie zwierzę. Nie, to nie może być prawda! To zupełnie kretyńskie, niepoczytalne! Los zachichotał, zaśmiał mi się prosto w twarz!

Wjechałem do garażu i zapaliłem światło. Obejrzałem uważnie przód auta: błotnik był poharatany, a maska miała kilka głębokich wgnieceń. Na szczęście reflektory wyglądały na nieszkodzone. Podłączyłem akumulator do prostownika. Zanim wyszedłem na zewnątrz, przez kilka minut stałem oparty o ścianę, chłonąc ciszę pomieszczenia. Uspokajałem bicie rozhuśtanego serca. Spokojnie, powtarzałem sam do siebie, tamten człowiek żyje. Potem szedłem bocznymi uliczkami, które w ciemności wieczoru zatraciły znajome oblicze.

Do domu dotarłem kilka minut po dwudziestej trzeciej. Cichutko wślizgnąłem się do mieszkania. W pokoju córki paliła się nocna lampka. Justyna pewnie jeszcze czytała przed snem. Zegar w przedpokoju cierpliwie wystukiwał sekundy. Otworzyłem drzwi do naszej sypialni. Ania nie spała.

– Samochód zostawiłem w garażu. Ładuję akumulator – powiedziałem.

Podniosła głowę znad książki.

– Czyli jednak akumulator.

– To nie jest takie oczywiste. Jutro się okaże.

Przyjrzała mi się zaniepokojona.

– Źle się czujesz?

– Nie, skąd – zachnąłem się. – Dlaczego pytasz?

– Jesteś tak strasznie błądy...

– Miałem ciężki dzień – odparłem zdawkowo, rozpinając koszulę.

– Nic nie opowiadasz. Jak w pracy?

– Wszystko poszło zgodnie z planem. – Uśmiechnąłem się, z lewdością dusząc w sobie kłębowisko emocji.

Gdybym mógł to wszystko wyrzucić! Ekspłodować z ogłuszającym wyciem, jazgotem, hukiem niczym jakiś powietrzny kataklizm!

Ale nie, Ania nie mogła się o niczym dowiedzieć. W każdym razie nie teraz, nie dzisiaj. Zaciskałem usta, żeby nie zdradzić się nieopatrzenie wypowiedzianym słowem.

– Wezmę prysznic – rzuciłem i powlokłem się do łazienki. Długo pływałem się w chłodnym strumieniu wody, kilkakrotnie namydlając każdy kawałek ciała, centymetr po centymetrze. Potem z całą siłą pocierałem skórę aż do czerwoności. Czułem piekący ból, jakby tysiące igieł wbiło się w zakończenia nerwowe.

Kiedy wróciłem do pokoju, Ania już spała. Położyłem się obok i zgasłem nocną lampkę. Myślałem o tamtym człowieku. Noga wykrzywiona w nienaturalnej pozie. Czy on będzie chodził? A jeśli nie? Jeśli nigdy więcej nie stanie o własnych siłach i do końca życia będzie skazany na wózek inwalidzki? Jest jeszcze ona, moja żona, przed którą zataiłem prawdę. Właśnie: przemilczałem prawdę czy zabrnąłem w kłamstwo? Czy niedopowiedzenie to kłamstwo? Czy można zgrzeszyć milczeniem?